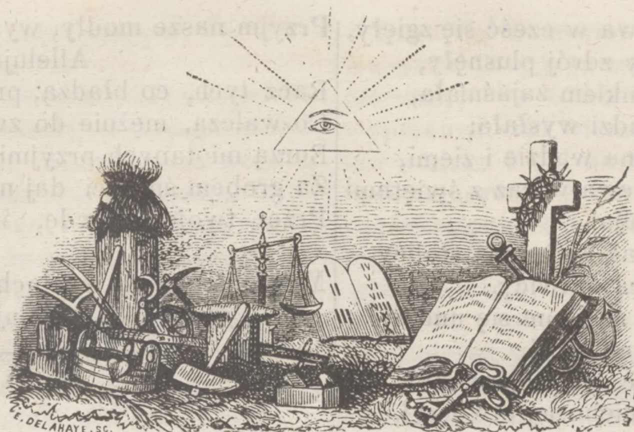
ROK PIĄTY.

№ 15.

WARSZAWA

d. 27 marca (8 kwietnia)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

Zmartwychwstania Pańskiego.

„Racz zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli w zyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Niepodobna jest rzecz, mówię niepodobna, byśmy dobrze inne niezliczone dobra uczynili, iżbyśmy bez jałmużny do Królestwa niebieskiego wniść mogli. Nic tak nie ukazuje chrześcianina, jako jałmużna, nic tak bardzo Pana Boga nie obraża, jako niemiłosierdzie. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Zmartwychwstanie.

Jak świat rozległy z wschodu do zachodu,
Z południa w północ, tak w pośród narodu
Chrześciańskiego błogie dziś wesele;
A jak nam wiosna kwiaty w łąki ściele,
Tak się w nas życiem dusza dziś ubrała,
I moc tryumfu pieśnią nam zagrała
Alleluja!
Co Bóg nam przyrzekł, w tem dopełnił ślubów:
Zabrzmiały harfy serafów, cherubów,
Tworząc pieśń nową w ludzkości kościele,
Bóg zesłał syna, a z nim dał nam wiele,
Bo za nas cierpiał, zmarł, i w grób złożony,
I zmartwych powstał, by świat był zbawiony.
Alleluja!
Powiedział Chrystus: grobem mi Golgota, (1)
Lecz przez śmierć moję z niej do niebios wrota;
Umrę, i wstanę z potęgą wszechwładną,
A z mieczem w ręku straże na twarz padną;
W tenczas uwierzą, gdy sam w méj osobie
Z pieśnią zwycięztwa stanę na mym grobie.
Alleluja!
Bo siałem prawdę, tej prawdy nasiona
Chociaż po później, do ludzkości łona
Wsiąkną i wzrosną, dając jej plon złoty
Wiary, nadziei, miłości i cnoty;
A chociaż niebo i źniwa przeminą,
To słowa mojej prawdy nie zaginą.
Alleluja!
Stanął, i groby wkoło niego pękły,
Ziemia zadrżała i otchłanie jękły,
Stanął, i z dziwu stanęła natura,
Jak przed swym ojcem zawstydzona córa,
I ludzkość wstała z powątpiewań nocy
Nowa, piękniejsza, bo o Bożej mocy.
Alleluja!
Chrystus zmarł człekiem, lecz Bóg nie umiera:
Oto się święty dla nas grób otwiera,
Bo anioł biały kamień z'eń odwala,
Pochodnię wiary w płomień nam rozpala,
Z nią Chrystus wstaje żywy po swej męce,
Do nas jak ojciec z pieśnią wznosi ręce.
Alleluja!

(1) Góra, na której Chrystusa ukrzyżowano.

I przed wstającym drzewa w cześć się zgięły,
Wody naokół w srebrny zdrój plusnęły,
Zorza nam żywszym rankiem zajaśniała,
Piękniejsze słońce do ludzi wysłała;
Wszystko, co w niebie na wodzie i ziemi,
Głosi wraz z ludem, śpiewa w raz z świętemi
Alleluja!
Chrystus zmartwychwstał, i w nieba stolicy
Zasiadł na tronie po ojca prawicy,
W blasku Duch Święty nad nim się unosi,
A niebo całe *Hosanna* mu głosi,
Że dla ludzkości umrzeć się nie trwożył,
Aby przez śmierć swą niebo jej otworzył,
Alleluja!
A więc choć grozi życia nam męczeństwo,
Bądźmy wytrwali, wszak na podobieństwo
Boga jest każdy człowiek tu stworzony,
I cząstką ducha jego obdarzony;
W każdej więc chwili, tak mu żyć potrzeba,
By w cnót nagrodę dostał się do nieba.
Alleluja!
Siejmy tę wiarę wpośród uciśnionych,
Oświecmy myśli, gdy znajdziem zwątpionych,
Wskazując przykład krzyż męki, Golgotę:
Jak Chrystus cierpiał za miłość i cnotę,
Jednak zwyciężył, zmartwychpowstał z chwa-
łą,
Aby odrodzić świat i ludzkość całą.
Alleluja!
Kto z nas daremno czasu nie marnuje,
Kto troski braci w sercu swojem czuje,
Gdy trzeba pomódz, choćby życie łoży,
Takiemu niebo sam Chrystus otworzy,
Pieśń go anielska przed niebiańskim progiem
Powita słowy: ten człowiek żył z Bogiem!
Alleluja!
Jakoś ty powstał, tak w Twe Imie Panie,
Co legło w grobie, przez Twą łaskę wstanie;
Śmierci zwycięzcę otoczą cię w bieli,
Za prawość życia, życie będą mieli,
Bo sameś Chryste, że jest życie w grobie
Jasno okazał na własnej osobie.
Alleluja!
Ciebie więc proszą dzieci Twe z pokorą,
Co w pocie sieją, niech w radości zbiorą,
Których noc kryje, tym niechaj zadnieje,
Niech w niebie spocznie, kto tu w trudach
mdleje,
Przez twoje światło, mękę, zmartwychwsta-
nie,
Przyjm nasze modły, wysłuchaj nas Panie!
Alleluja!
Racz tych, co błądzą, prawdą twą kierować,
Co walczą, mężnie do zwycięztwa prowadź,
Burzą miotanych przyjmij w port bezpieczny,
Za grobem śmierci daj nam żywot wieczny,
Przez twoję prawdę, śmierć i zmartwych-
wstanie
Miłuj nas dzieci, wysłuchaj nas Panie!
Alleluja!

Szymon Szymonowicz.

Polski ten pierwszy pisarz sielankowy, czyli poeta opisujący życie pasterzy, a w ogóle wieśniaków, urodził się roku 1558 lub 1557, we Lwowie w Galicyi, z ojca Szymona rajcy, czyli ławnika przybyłego do Lwowa, jak jedni utrzymują z *Brzeżan* w Galicyi, a jak inni, z *Brzezin* miasteczka w Rawskiem położonego. Nie jest więc dotąd ostatecznie wyjaśnionem, czy był ormiańskiego, czy mazowieckiego pochodzenia. Ojciec jego był człowiek uczony; miał domek na przedmieściu Halickiem we Lwowie, otoczony ogrodkiem pełnym śliw, jabłoni i innych owocowych drzewek. Młody Szymonowicz pobierał nauki w akademii Krakowskiej, słynnej wówczas na całą Europę. Tu się zapoznał z Janem Kochanowskim, przez którego zachęcony, wziął się do pisania wierszy; a kiedy ten ojciec poetów polskich zstępował do grobu, Szymonowicz miał wtedy lat 27. Jakób Górski opiekun i krzewiciel nauk w akademii Krakowskiej, pierwszy poznał zdolność Szymonowicza, polecił go ks. Sokołowskiemu, słynnemu kaznodziei na dworze Stefana Batorego króla Polskiego, który go zbliżył z Janem Zamojskim, najznakomitszym i najzasłużeńszym mężem w kraju w owym czasie. Odtąd Szymonowicz dla słodkich obyczajów, roztropności i pięknych wierszy polubiony przez Zamojskiego i przypuszczony do poufałości, nieodstępnie przy boku jego zostawał.

W roku 1593, na żądanie tego Kanclerza i Hetmana, Szymonowicz znosił się ze Lwowa z najznakomitszymi ludźmi swego czasu w celu wyszukania pomiędzy nimi profesorów

do akademii w Zamościu, mającej się otworzyć roku następnego.

Obdarzony przez dobroczyńcę swego naprzód wioską *Homencinem*, a następnie wsią *Czernięciny*, w pięknej okolicy nad rzeczką Pur o 3 mile od Zamościa położoną, życie swe pędził na osobności, nie pragnąc blasku światowego, mimo że mu doń nastręczała sposobność przyjaźń hetmana, mającego wielki wpływ u króla i na sejmach. Z tych to wiosek Szymonowicz pisywał listy do swego dobroczyńcy w sprawach dotyczących akademii Zamojskiej, wstawiając się głównie za ludźmi młodymi poświęcającymi się naukom.

Najwięcej pociechy szukał w pięknym księgozbiorze swoim, którego część w rękopismach przeszła do dzisiejszej biblioteki ordynacyi Zamojskich.

Jan Zamojski hetman i kanclerz umierając r. 1605, dziesięcioletniego jedynaka swego Tomasza, poruczył opiece Szymonowicza. Jeszcze żył poeta, kiedy Tomasz Zamojski dziedzicząc po ojcu majątek i dostojeństwo, został wojewodą Kijowskim. Pisywał do niego często dawny nauczyciel, wynosząc cnoty ojca i zachęcając syna do ich naśladowania. Pięknym jest np. ustęp z wiersza po łacinie do Tomasza napisanego, w którym opisując burze życia ludzkiego, mówi:

„Przyjm uwagi, które miłość moja ku tobie dyktuje; gdym był przy boku twoim, nigdy cię głos życzliwego doradcy nie opuszczał. Dziś łódź życia twego wypłynęła na wzburzone morze, któremu grożą wichry i fale, miotają nim bałwany, sam stér zawieść może, sterczą ukryte skały, brzegi się usuwają, i tylko czasem obłudna cisza nastaje.“

Jakób Sobieski ojciec króla Jana III był również wychowańcem Szymonowicza.

Umarł ten pisarz r. 1629, mając lat 71 wieku. Nagrobek w kollegiacie w Zamościu położył mu siostrzeniec jego Solski. Wieniec, jako nagrodę wielkich zdolności i zasług swoich odebrał owczesnym obyczajem z rąk króla Batorego, a jak inni twierdzą, przysłał mu go Klemens VIII papież r. 1593. Zygmunt III król zamianował Szymonowicza poetą swoim. Szymonowicz sławy niechciwy, obojętnym był na pisma swoje, które dopiero przyjaciele jego, a między nimi poeta Stanisław Grochowski do druku podali.

Pisał Szymonowicz po polsku i po łacinie. Najważniejszą jego zasługą jest to, iż prawie pierwszy, bo tylko Klonowicz go w części wyprzedził, do wierszy swoich wprowadził lud wiejski. Pisał on bowiem *Sielanki*, w których opisywał życie na wsi, ale powiększej części szlacheckie. Sielanki te częścią tłumaczył lub naśladował z obcych, częścią pisał własne; wystąpił jednak godnie, co uznał cały naród, który sobie upodobał w jego sielskiej pieśni, jak również liczni jego naśladowcy, w poźne po nim czasy naśladujący jego rodzaj pisania, do których nawet Ignacy Krasicki, Kazimierz Brodziński i Stefan Witwicki (o których w swym czasie powiemy) należą. Ileż z pieśni jego do dziś dnia znajdziesz w ustach ludu; np. piosnki zaczynające się od wierszyków: Próżnoś mię pod kądzielą matko posadziła. Gąsięta mi po trawie matko paść kazała. Kwoczka po brzegu chodzi, gąsięta pływają. Jałóweczko, daleko zachodzisz w chruścinę i t. d. A komuż z nas nieznana śpiewka, którą Gawiński z Szymonowicza przerobił: *Już to śpiewasz skowroneczku!..* i t. d.

Oprócz sielanek pomiędzy innemi utworami swemi zostawił nadto Szymonowicz *Nagrobki zbieranej drużyny*. Są to bajeczki pisane w sposobie nagrobków zwierzętom różnego rodzaju. Z nich to Krasicki utworzył potem nieporównane swe bajki; np. *stary pies i stary sługa*, *papuga* i *wiewiórka*, *motyl* i *chrząszcz*, *słoń* i *pszczoła*, *kogut*, co do pomysłu są wzięte z Szymonowicza.

Oto wyjątek z sielanki Szymonowicza p. t. *Żeńcy:*

Dwie żniwiarki rozmawiają pomiędzy sobą o panu staroście, czyli jak dziś nazywają rządcy lub ekonomie— jedna z nich mówi, wzdychając:

—Słoneczko, śliczne oko, oko dnia pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego:
Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemu się zda mało,
Chciałby on, żebyś ty o północy wstawało.
Ty bieżysz do południa, zawsze swoim torem,
A onby chciał ożenić południe z wieczorem.
—Nie postawaj Pietrucho, a przyśpiewuj cudnie,
Jeszcze obiad nie gotów, jeszcze nie południe.
—Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego
Ty nie jesteś zwyczajów starosty naszego:

Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie,
A on wszystko porobić chce w jednej godzinie;
Ty czasem pieczesz, czasem wionąć wietrzykowi
Pozwolisz, i naszemu dogadzasz znojowi;
A on zawsze: porzynaj, nie postawaj, woła,
Nie pomnąc, że przy sierpie leje się pot z czoła.
Słoneczko, śliczne oko, oko dnia pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego:
Ty nas ogrzewasz, ty nam z nieba wszystko dajesz,
Bez ciebie noc, z tobą dzień jasny, gdy ty wstajesz;
Niech i on na nas zawsze patrzy jasnem okiem,
Niech nas z pola wczas spuszcza, nie z ostatnim mrokiem!

Nagroda i pomoc.

Nad wieczorem Małgorzata komornica na Rumunku, odcedzała kartofle gotujące się w kominie, ocierając fartuchem zapłakane oczy, i nie patrząc wcale ani na troje dzieci, co się przy drzwiach bawiły, ani na sąsiadkę i dwóch sąsiadów, co smutni gwarzyli u stołu.

Jeden z wieśniaków, starszy wiekiem, w biednej lecz czystej kapocie, podniósł się z ławy, nad którą wisiał jego słomiany kapelusz, i stanąwszy przed żoną odcedzającą kartofle, rzekł:

— Małgorzato, nie frasuj się dłużej, bo ja jeszcze bardziej głowę tracę. Kto poczciwy, nie ginie. Bóg wie przecież, jakeśmy dotąd żyli; nie opuści nas! Uskwarz słoninę i pójdź do stołu; nasi sąsiedzi obiecują nam dobrą radę, może co i poradzą.

— A jużci, przerwała Grochowa sąsiadka i Pociej gospodarz z drugiej morgi; Błażej ma racyę: umyśliliśmy wam poradzić, pójdźcież jeno Błażejowa.

Małgorzata otarła twarz i westchnęła, chwilkę oczy jej patrzyły nieruchomie w garnek; wreszcie usłyszawszy szum w tygielku, okrasiła kartofle i obdzieliwszy niemi dzieci, sąsiadów, siadła smutna pod oknem.

Słońce już zachodziło, świecąc na brzegach Częstochowskiego obrazku zawieszonego nad łóżkiem wysoko zasłanem. Czystość i ład widać było w chacie; a choć gospodarz i gospodyni za cały majątek mieli tylko po dziesięć palców, oszczędność ich przecież i praca przysposobiły kilkanaście misek malowanych w kwiaty, półkę z kuchennym sprzętem, parę obrazów, lustro w brzozowych ramach, dębowe stołki, stół, skrzynię dużą zieloną dla świątecznych sukien i krówkę w oborze.

Ach! wspomnienie właśnie tej krówki wyciskało łzy z oczu Błażejowej, ile razy spojrzała na worek pełen chleba, przygotowany mężowi w drogę i na postronek, na którym miał ulubione bydlę, dające codzień parę garncy mleka wyprowadzić do blizkiego miasteczka na sprzedaż.

Biedna Małgorzata nie mogła znieść myśli pozbycia się swojej krówki, którą wychowała i która w jej domowym dobytku tak ważną grała rolę, przynosząc codzień po kubku mleka dla dzieciaków, co piątek parę talarów do skrzynki za sér, masło i śmietanę.

Grochowa rozumiała dobrze strapienie sąsiadki, i dlatego zjadłszy kartofle, rzekła do niej:

— Nie trapcie się kumo, nie sprzedacie już waszej krówki.

Małgorzata podniosła głowę z radością, i niedowierzaniem, lecz zaraz wstrząsnęła nią smutnie, mówiąc:

— Tak... a czem zapłacimy podatek? Nie chcę, żeby nas wyrzucono; to jakoś trąci nieuczciwością, kiedy człowiek nie uiści się z należności i wypędzają go. Niech się dzieje wola Boża!.. nie mamy czem zapłacić, bo grad nam wybił jarzyny i zboże. Idź więc Błażeju z graniastą do miasta, sprzedaj ją, oddaj należność, a co się okroi, kupisz cielę, to się znowu kiedy odchowa.

I Małgorzata machnęła ręką, Pociej przysunął się do niej.

— Słuchajcie, rzekł, znamy waszą uczciwość, wiemy, że od kilkunastu lat ty i twój mąż dajecie nam wzór trzeźwości, poczciwości i pracy. Nie byliście nigdy dostatni, krwawy pot okupywał każdy sprzęcik w chacie, jednak zawsze znaleźliście grosz i rękę na na dobre uczynki.

— Mój kumie! co tam człowiek mógł zrobić dobrego!... sami my biedni.

— Nie mówcie!.. a chora Stefanka?

— Cicho, cicho... Panie świeć jej duszy!

— A dwie sieroty?

Kobieta położyła palec na ustach i wskazała na dwie dziewczynki podobne do siebie jak dwie jagody, bawiące się przy drzwiach z jej jasnowłosym chłopcem.

— Sza! zawołała, dzieci usłyszą i rozpłaczą się. Matka ich nie żyje, ojciec za góry, za lasy poszedł, kto wie czy wróci? Jeśli nie, niech dzieciaki nie wiedzą, że są sierotami; niech już tak do końca mówią na mnie *matko* na Błażeja *ojcze!*

Pociej ciągnął dalej:

— Otóż tymbardziej kiedy sieroty bierzecie za swoje, możecie przyjąć z ich rąk pomoc.

Kobieta podniosła oczy z zadziwieniem.

— Pomoc? pomoc od tych siedmioletnich bliźniaczków, które matka zaraz po urodzeniu odumarła?

— A jużci! Nie wiedzieć czemu chowacie dwa bicze czerwonych korali, które wam Stefanka oddając dzieci w opiekę, podarowała. Te korale są waszą własnością. Zamiast krowy, sprzedajcie jeden bicz; nikt się przecież o nie upomnieć nie może, wszyscy wiedzą, żeście je dostali.

Błażejowa poczerwieniała z oburzenia, a Błażej spochmurniał, splunął w bok i poszedł ku oknu, zostawiając żonie pole do odpowiedzenia Pociejowi.

— Za cóż mnie bierzecie? odrzekła wreszcie, ochłonąwszy nieco komornica. Myślicież, że za święty obowiązek litości, jaki wzięłam na siebie, zapłacę sobie ostatnim klejnotem biednej matki, która nim chciała wyżebrać miłosierdzie moje dla swych dzieci? Nie, nigdy! Te dwa bicze korali pięknych jak groch, są dla mnie świętością, zamkniętą na dnie skrzyni, nikt ich nie weźmie, nikt ich nie dotknie prócz Kasiuchny i Halki, jak dorosną. Dlatego też Błażeju, nie spuszczaj się na rady sąsiadów, idź do komórki po jałówkę; do miasta ze dwie milki, a już się ściemnia.

Błażej wstał, uścisnął żonę i wyszedł z powrozem z izby. Za chwilę słychać było ryk graniastej przed chatą; Małgorzata wybiegła pożegnać ulubione bydlę, a podczas gdy mąż zawiązywał krówce sznur koło rogów, ekonom i jakiś pan ukazali się na ścieszce wiodącej do chaty.

Błażejowa zbladła, nieznajomy skłonił się grzecznie, biedna zaś kobieta, obejmując jego nogi, krzyknęła:

— Zapłacimy wielmożny panie podatek, zapłacimy, bo jesteśmy rzetelni, tylko biedni. Już się pożegnałam z moją jałówką, mąż ją jutro przeda i pieniądze odda. Nie rób więc nam wstydu, nie wyrzucaj z chałupy!

Pan spojrzał ze współczuciem na komornicę i rzekł:

— Uspokój się moja kobieto, wejdźmy do chaty, tam się rozmówimy bliżej..

Błażej pociągnął żonę do izby, gdzie około stołu oboje wraz z Pociejem i Grochową otoczyli nieznajomego gościa, który im zadał kilka następujących pytań:

— Wszak wy jesteście wyrobnicy, Błażej i Małgorzata?

— Tak.

— Wszak u was przed siedmiu laty umarła uboga Stefanka, znalazłszy w waszej chacie przytułek i ochronę?

Małgorzata zdziwiona odrzekła:

— Tak.

— Wszak to wy, lubo sami biedni, wzięliście za swoje dwie sieroty po niej pozostałe?

Małgorzata napół przelękniona, napół wzruszona, wyrzekła znowu:

— Więc cóż? tak!

Przybyły mówił dalej:

— Otóż pewne grono ludzi złożone z dziedziców zamożnych, dobrych, rozumnych i szlachetnych, dowiedziawszy się o waszem życiu ciągle uczciwem, miłosiernem, pracowitem, pozdrawia was i przysyła wam zapomogę w ilości stu talarów.

— Sto talarów! krzyknęli razem Pociej i Grochowa.

— Sto talarów! nie potrzebujecie już przedawać krówki:

Błażejostwo zaś jednocześnie zawstydzili się oboje, kobieta umilkła, mąż jej odpowiedział:

— Panie! za uczciwość i litość, już nam ksiądz na spowiedzi wynagrodził, mówiąc, że to Bogu miło!.. Któż są ci ludzie, co nam chcą za serce i powinność zapłacić pieniędzmi?. . oddaj im ich talary i powiedz, zkąd uczciwi wzięli już nagrodę.

Nieznajomy osłupiał ze zdziwienia; wzruszony, szukał w głowie sposobu, jakimby mógł skłonić wieśniaków do przyjęcia ofiarowanej im przez Towarzystwo nagrody... gdy drzwi otwarły się, wbiegł do izby żołnierz w zakurzonych sukniach i wyciągnął ręce do Małgorzaty.

— Marek! mąż Stefanki! wykrzyknęli wszyscy dokoła, wróciłeś więc z wojska!

Żołnierz płakał i ściskał z kolei Błażeja, Grochowę, Pocieja, a wyciągając ciągle ręce do komornicy, wołał:

— Wiem Małgorzato, co się stało z moją żoną, wiem żeś nasze dzieci wzięła do siebie, pokaż mi je co prędzej, powiedz, czy żyją, gdzie są?

Małgorzata zawinęła się koło skrzynki, wybiegła po dzieci, które były w sadzie i po chwili wróciła do izby, prowadząc za ręce dwie dziewczynki przybrane na szyjkach w czerwone korale.

Żołnierz pochwycił dzieci za ręce, ściskał je, pieścił i płakał, każąc nazywać się ojcem.

Małgorzata pomagała mu do rozbudzenia w nich ufności i uczucia rodzinnego; biedny ojciec dobywał wszystkich sił swej duszy, byle natchnąć miłością istoty, które z nawyknienia tuliły się do Błażeja, patrząc z nieśmiałością i obawą na wąsatego żołnierza. Wreszcie pieszczoty prawdziwego ojca przemogły; zbliżyły się zwolna i siadły mu na kolanach, wyciągając ku niemu rączyny.



Korale Stefanki błyszczały na szyjach dziewcząt, jak świadectwo poczciwości komornicy i jej męża. Marek zrozumiał to i ściskając rękę kobiety, wyrzekł:

— Strzegliście sierot i ich dobra, oto i korale Stefanki ocalały. Niech was Bóg pocieszy!

Błażejowa zwróciła się do nieznajomego i rzekła:

— Panie! to jest nasza nagroda: cichy spokój w sumieniu i błogosławieństwo ludzi.

Pan skorzystał ze sposobności, wysypał na stół wzgardzone talary i przekładał:

— Słuchajcie, nie zrozumieliśmy się i ztąd wasza niechęć. Moja wina, że się źle wyraziłem, że nazwałem nagrodą to, co nią nie jest. Towarzystwo ludzi, o którem wam mówiłem, nie myśli płacić za cnotę, bo za nią tylko Bóg w niebiosach wiekuistem życiem płacić może, lecz postanowiło pomagać ludziom uczciwym a biednym. Dowiedziawszy się więc o waszej szlachetności i kłopotach, przysyła wam przezemnie sto talarów, żebyście przyjęli te pieniądze nie jako nagrodę, lecz jako pomoc.

— A to co innego! zawołali uradowani wyrobnicy; nagrody nie chcemy, lecz pomoc uczciwa, Bóg widzi, że nam potrzebna. Przyjmujemy więc pieniądze i prosimy, powiedz tym dobrym panom, że ich nie przestaniem błogosławić za ich pamięć i serce dla biednych robotników, a jak się dorobimy, to i oddamy.

Gość ucieszony pozostał jeszcze chwilę z wieśniakami, aby popatrzyć na ich radość i tkliwą prostotę. Starsi gwarzyli o nowych zamiarach, dwie dziewczyny wieszały się ojcu na szyi; tylko chłopczyna siedział smutny i milczał, dowiedziawszy się, że Kasiuchna i Halka nie są jego siostrami, i że je żołnierz gdzieś daleko z sobą zabierze.

Sér.

Jeżeli masło wysoką ma wartość pomiędzy produktami używanemi na pokarm codzienny, to i sér nie mniejsze ma w naszem pożywieniu znaczenie. Owszem, wyrobnik, kmiotek,

chętniej zapewne zje kromkę séra z chlebem, lepiej się nim posili, niż tym samym kawałkiem chleba nasmarowanego masłem. Sér jest znacznie tańszy, a bez porównania pożywniejszy od masła, lub słoniny, które więcej za przyprawę, niż za pożywienie uważać należy. I lepiej zawsze biedak robi, jeżeli zamiast szpérki mizernej, często źle przyrządzonej na którą kilka groszy wydaje, aby ją z chlebem spożyć, kupi sobie raczej sérek, bo się nim daleko lepiej i skuteczniej pożywi. Zobaczmy teraz, jak się to sér robi.

Sér można otrzymać tak dobrze z kwaśnego, jak i ze słodkiego mleka. Nasze zwyczajne polskie séry robią się z kwaśnego mleka, a te drogie séry, szwajcarskie, holenderskie, co to je po sklepach dla zamożniejszych ludzi sprzedają, ze słodkiego mleka.

U nas na wsiach polski sér tak się robi: Mleko w gładyszy, czyli dużym, szerokim glinianym garnku zostawia się dopóty, dopóki się jak nazywają nie *zsiądzie*, to jest nie zamieni w kwaśne mleko, czyli skwaśnieje. Wtedy na wierzchu znajdującą się kwaśną śmietanę zbierają na masło, a kwaśne mleko, przedstawiające postać galarety, stawiają na ciepłym kominie, lub przy gorącym piecu, żeby się dobrze zagrzało, a przez to pływający w nim twaróg lepiej się ściął i związał. Nie można mleka kwaśnego ogrzewać do zagotowania, bo wtedy twaróg bardzoby stwardniał i dałby sér twardy, kwaśny i niesmaczny, jak na wsi powiadają, *zwarzony*.

Skoro twaróg należycie zgęstnieje, wlewają go w worki płócienne, przez które serwatka swobodnie przecieka. Następnie kładą pod deszczółki przyciskane kamieniem, aby wycisnąć resztę serwatki. Skoro serwatka pod przyciskiem znacznym już nie odpływa, sér z worków wybierają, ugniatają i mieszają dobrze z solą, anyżem, kminem, karolkiem do upodobania, a to dla utrwalenia séra i nadania mu przyjemniejszego smaku i zapachu. Następnie wkładają napowrót w worki dowolnej wielkości, przyciskają znowu kamieniem, a po paru dniach sér już jest gotów i tylko suszy się na powietrzu w tak nazwanych sérnikach.

Sér taki mało ma w sobie tłustości, bo z mleka kwaśnego zebrana śmietana, zawierała w sobie największą część masła i dlatego nazywa się chudy. Smak ma zawsze słodkokwaskowaty tak jak i serwatka, a smak ten pochodzi od kwasu mlecznego.

Ale wszystkie séry wytworniejsze muszą być tłuste i robić się ze słodkiego, niezbieranego mleka. Żeby w słodkiem mleku ściąć twaróg, ale go nie skwasić, używają tak nazwanej *podpuszczki*. Podpuszczka jest to czwarty żołądek młodego, ssącego jeszcze cielęcia, który ma szczególną własność zsiadania mleka. Żołądek ten rozmaitym sposobem do tego celu przygotowują. I tak: w niektórych krajach świeży żołądek po oczyszczeniu go i starannem wypłukaniu suszą, gdzieindziej solą go i wędzą, a to dlatego, aby go jak najdłużej bez zepsucia przechować. Kawałek takiego żołądka, czyli podpuszczki wielkości cala kwadratowego odcięty i namoczony w pół-szklance wody przez dwanaście godzin, zsiada dwadzieścia garncy mleka. Teraz już coraz mniej używają tej podpuszczki, od czasu, jak uczeni potrafili robić sztucznie kwas mleczny. Dziś dosyć w aptece kupić flaszeczkę kwasu mlecznego i wlać łyżeczkę jego do ciepłego mleka, aby je ściąć natychmiast. Tym sposobem teraz można mieć w kilka minut świeżuteńką i słodką serwatkę ze świeżego mleka, co dla chorych, mianowicie na piersi jest prawdziwem lekarstwem.

Za pomocą więc albo podpuszczki, albo kwasu mlecznego sztucznego na całym świecie teraz robią przepyszne tłuste séry z mleka krowiego, owczego i koziego. Séry takie starannie wyrobione, za drogą się cenę sprzedają; są bowiem séry, których funt rubla kosztuje. Tak anglicy robią krowi sér *czerster* nazwany, bo się w prowincyi angielskiej tego nazwiska wyrabia, a dla wyrobu séra tylko trzymają w tej jednej prowincyi krów najprzedniejszych sto tysięcy. Holendrzy również krowi sér robią, który w całym świecie pod nazwą *holenderskiego* jest znany. Francuzi sérami swojemi z całym światem handlują. Włosi z mleka krowiego owczego i koziego w rozmaity sposób mięszanego, przednie nam przesyłają séry. Główny dochód Szwajcaryi, górzystego zresztą i ubogiego kraju, pochodzi ze *szwajcarskich* sérów, które dziś w całym świecie zna każde dziecko. Wszystkie

te séry prawie jednakowo się robią. Opiszę wam tu jak to się naprzykład w Szwajcaryi dzieje.

Kraj ten górzysty, nie ma prawie wcale ornego pola, ale za to przepyszne na górach pastwiska. Na tych góralskich pastwiskach pasą się ogromne stada krów i kóz, a bydełko to takie śliczne, że miło nań spojrzeć. Krowy tamtejsze na cały świat sławne, dniują i nocują na górach wysokich na dwa i trzy tysiące łokci; w chłodne tylko noce schodzą się do budynków drewnianych, naumyślnie w górach wystawionych. Skoro słońce ma się ku zachodowi, pasterze górale zaczynają wygrywać na długich fujarkach, podobnych do naszych wiejskich ligawek, ale cieńszych i u dołu jak fajka zakrzywionych. A na ten odgłos krowy i kozy rozproszone po górach, schodzą się w jedno miejsce na wydój wieczorny. Każda krowa i każda koza ma u szyi dzwonek, a dzwonki te lekkie i cienkie są różnej wielkości: są i tak duże jak garnek kwartowy i takie malutkie, jak naparstek i wszelkiego pośredniego rozmiaru. Można więc sobie wyobrazić, jak te wielkie, średnie i małe dzwonki po rosie się rozlewają, skoro bydełko schodzi z gór wieczorem. Krowom wymiona nabrzękły mlekiem do takiej wielkości, że z naszych wiejskich drobnych krówek nie możemy mieć o tem wyobrażenia; bo tam krowa wieczorem na jeden udój cztery i pięć garncy mleka daje. A kozy, to te często same z góry zejść nie mogą, tak im nabrane wymiona do chodu zawadzają i muszą je nieraz pasterze na ręku przynosić. Każdy pasterz ma kilkanaście krów i kóz do wydoju, każda też krowa ma swego pasterza i wszystkie około pasterzy zaraz tworzą gromadki. Tu dopiero zaczynaną się wyścigi między krowami i kozami, która wprzód da się wydoić. A każda chce być pierwszą, i nie darmo; bo pasterz ma przez ramię przewieszoną torbę z solą i po wydojeniu każdej sztuki daje jej garść tego przysmaku. Ztąd taki zapał między niemi, aby się jak najprędzej do pasterza dostać.

Mleko krowie i kozie pomieszane razem, wlewa się zaraz ze skopków do wielkiego kotła stojącego na ognisku, ogrzewa się, dodaje doń podpuszczki, ścina, a otrzymany twaróg wyciska w formach wielkich drewnianych za pomocą pras.

Tak samo w *karpatach* (1) séry owcze się robią. Na niższych górach, gdzie trawa i rozmaite rośliny bujnie i obficie rosną, tam pasą się równie jak i w Szwajcaryi krowy i sér krowi się wyrabia; ale im góry wyższe, tem trawa i rośliny na nich drobniejsze, pastwisko spadzistsze, a krowa i pożywićby się czem nie miała i na skalistej górze utrzymaćby się nie mogła; owce więc miejsce krów zajmują. Na wszystkich polach, czyli pastwiskach górskich śnieg długo na wiosnę leży, a wcześnie w jesieni spada. Na wiosnę więc, w miarę jak śniegi na górach topnieją, pasterze z owcami coraz wyżej się drapią, a przy końcu lata i na początku jesieni, skoro śnieg na szczytach już padać zaczyna, coraz niżej się spuszczają. Górale w wioskach podtatrzańskich mieszkający, wybierają zwykle zpomiędzy siebie jednego, który najlepiej około trzody i sérów chodzić umie i oddają mu pod opiekę swój dobytek, ustępując część dochodów i przypłodku. Wybrany ten zwierzchnik zowie się tam *bacą*; najmuje sobie kilku lub kilkunastu młodych parobczaków, którzy się *juhasami* nazywają i rusza z nimi i całą trzodą w góry. Przez cały czas pastwiska nie schodzą oni w doliny, śpią wraz z trzodą pod gołem niebem, albo w mizernych, skleconych z kamieni i kilku desek szałasach, i w nich to opisanym wyżej sposobem wyrabiają séry. Za całe pożywienie służy im *żentyca*, czyli serwatka po zrobieniu sérów pozostała. Żentyca ta bez chleba jedzona, doskonale ich jednak żywi i utrzymuje, i rzadko gdzie tak dzielnych i zdrowych parobczaków widzieć można. Poznałem tam dziewięćdziesięcioletniego bacę, który całe swoje życie ten urząd sprawował, a był silny, zdrów i czerstwy, tak, że mu ledwie pięćdziesiąt lat zgadywać można było. Tak to świeże górskie powietrze, żentyca, a z drugiej strony pracowite życie i nie picie wódki utrzymują dzielnie tych ludzi.

---

(1) Góry wielkie za Krakowem.

DODATEK.

Dodatek do Nru 15 Czytelni Niedzielnej z roku 1860.

Nadesłaną Redakcyi Czytelni przez przełożoną PP. Maryawitek w Częstochowie odezwę, podajemy tu w całości.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

A IMIE PANNY MARYA!

Szanowna i Prześwietna Publiczności!

Lubo z nieśmiałością, ale z wielką nadzieją i odwagą odzywam się do serc waszych litościwych, do serc kochających i bojących się Boga, do serc gorejących miłością Matki Bożéj. Otóż przez miłość Boga i przez miłość tėj Matki Boskiej, proszę i błagam, otwórzcie hojne dłonie wasze i raczcie przyjść w pomoc mnie biednéj i nędznéj istocie, która powzięłam zamiar ku powiększeniu chwały Pana Boga, oraz czci i honoru Najświętszej Panny Maryi, tu w tem miejscu cudami słynącéj, wznieść kościół pod tytułem: Najmiłościwszego Serca Matki Boga, oraz klasztoru na pomieszczenie sług Jej imieniem zaszczycających się *Maryawitek*, także przytułek dla wielu sierot, nieszczęśliwych wdów i katachumenek. (1)

Lubo mamy pozwolenie od Wysokiego Rządu kwestowania, ale w żaden sposób osobiście tego dopełnić nie możemy z powodu, że nas siostr jest mało, i to niektóre są bardzo słabego zdrowia, inne zajęte szkołą czyli nauką dzieci, inne pielęgnowaniem małych sierotek, to kuchnią i gospodarstwem; ja zaś sama głównie dozorem fabryki—więc gdyby dwie siostry wyjechały na kwestę, to zrobi w domu wielką różnicę, a gdyby jedna miała wyjechać, to wyraźnie jest nam regułą wzbronione. I z tych to wyżéj wymienionych powodów błagam w imie Boga Was wszystkich wiernych w Chrystusie bracia i siostry, którzy jesteście tak tkliwi na potrzeby i niedostatki bliźnich, gdzie prawie ubiegacie się z podaniem ręki potrzebującym; otóż i ja z największą ufnością po Bogu do Was zanoszę mą najpokorniejszą prośbę, którą spodziewam się nie raczycie odrzucić, ale przyjmiecie i sposobami, jakie Wam Bóg poda do serca, przyjdziecie mi w pomoc do doprowadzenia do skutku tak wielkich zamiarów moich.

O! jakże miło Wam będzie, gdy tu przybędziecie na to cudowne miejsce jedni z prośbą, drudzy z podziękowaniem za otrzymane łaski od Boga za przyczyną Matki jego Najświętszej, gdy zobaczycie nową świątynię, wzniesioną z ofiar waszych. O! jakąż radość uczujecie w sercach waszych, ale pomimo tej doczesnej nagrody, to się odbierze stokrotną nagrodę w niebie.

O! Boże wielki! błagam Cię ze łzami, któryś raczył użyć za narzędzie tak nędzną istotę do wykonania tak wielkich zamiarów Twoich, to nie raczże odmówić błogosławieństwa Twego ojcowskiego; racz o! Panie wzbudzić współczucie w sercach wszystkich i w najodleglejszych krańcach świata, którzy tę moją niezdolną odezwę czytać będą; racz mówię Panie i Boże mój, pomnożyć gorliwość w pośpieszeniu niesienia mi pomocy do Woli Twojej! O! Matko wielkiego Boga! pobłogosław mi. Oto już tylko za parę tygodni fabryka w całem znaczeniu ma się rozpocząć, która jest wyanszlagowna 30,900 rs., a ja obecnie mam na to 600 rs. i temi w imie Boga zaczynam, w nadziei Opatrzności Boskiej spodziewam się, że ta mnie nie omyli, szczególnie, że pod tym tytułem, tojest *Serca Maryi* pierwszy w świecie kościół stawiać się będzie. Przeto jeszcze raz rzewnemi zalewając się łzami, proszę i błagam Was siostry i bracia w Jezusie Chrystusie, przybądźcie mi z pomocą, a za to wiecznemi czasy, w każdą pierwszą środę miesiąca odprawiać się będzie w nowym kościele Msza Święta za wszystkich dobrodziejów.

Sługa sług Maryi

Paulina Jellec Maryawitka.

(1) Nowo ochrzczonych.

Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych.

Podarek dla ludu wiejskiego, czyli wieczorne opowiadania starego Bartłomieja.

Zebrane przez księdza J. Osieckiego.

Pod tym tytułem wyszła w Warszawie w r. 1855 książka, dla ludu wiejskiego poświęcona.

W jednej dużej wsi na trakcie między Zakroczymem a Wyszogrodem położonej, był kościół, a przy nim do posługi bardzo stary dziadek. Otóż ów dziadek imieniem Bartłomiej, dawny wojak, zwiedził był świata niemało, ztąd też poznał niejedną ciekawość.

Bartłomiej nic nie tworzył, ale wysnuwał z swej pamięci wypadki i zdarzenia, których sam bywał świadkiem, a często nawet brał w nich niemały udział.

Książeczka ta zawiera 156 stronic druku, napisana prosto i zrozumiale opowiadana, wszędzie żywa i zajmująca; dla przykładu przytoczymy jedno z opowiadań Bartłomieja:

„Po śmierci p. Sędzica, u którego służyłem przez lat siedm, mówił Bartłomiej, przeniosłem się do Dzierżanowa, bo tam właśnie umarł podupadły gospodarz; a że sobie uciułałem trochę grosza, bom go nie marnował, a żona moja była rządna, pracowita i stateczna, więc zostaliśmy na gospodarstwie w Dzierżanowie. Wtedy sam pan nie mieszkał tam, ale rządził ekonom. Pan tylko dwa razy do roku regularnie o jednej porze na kilka dni

zjeżdżał z innych dóbr swoich, tojest na święty Wojciech i na Nowy rok. Pan ekonom tedy był sobie tam całą gębą panem, robił co mu się podobało. Co święto, co niedziela na cały dzień i noc wyjeżdżał sobie z żoną do znajomych, do krewnych na zabawy, więc i ludzie za jego przykładem po całych nocach hulali w karczmie. Pan ekonom musiał i innych rozmaitych przeniewierzeń się dopuszczać, bo nieraz się trafiło, że jak chciał którego z chłopów poskromić, skarcić za pijaństwo, albo za inne jakie przewinienie, a gdy chłop niby do siebie półgłosem szepnął: Niechno nasz pan przyjedzie, powiem ja o wszystkiem, co się tu dzieje, i co na własne oczy widziałem; to pan ekonom zaraz się udobruchał, spuszczał głowę, tracił minę i wołał: No! słuchajno ty ladaco! ostatni raz ci przebaczam. A takich ostatnich razów było bez liku; więc ludzie za nic go prawie nie mieli, i strasznie byli rozbałamuceni. Między innymi gospodarzami, mieszkała tam rodzina Kubiaków. Było ich trzech braci, wszyscy zawołani pijacy, a najstarszy z nich Wawrzyniec wszystkich w pijaństwie przewyższał. Choćby najpilniejsza robota we dworze, a nawet w jego własnem gospodarstwie, jak tylko posłyszał o jakich chrzcinach, weselu lub pogrzebie, cisnął robotę, a tam leciał i rej wodził nad kieliszkami. A niech Bóg zachowa, ktoby go pijanego rozgniewał, bo u niego zaraz wtedy kij, albo widły były w robocie; a chłop był sam jak dąb, więc mu wszyscy basowali w karczmie. A chciałby kto do niego rozumnie zagadać, kiedy był trzeźwy, prosić, napominać, żeby się upamiętał, drugimi nie poniewierał i majątku swego w gorzałce nie topił; to on zuchwale klepał się po kieszeniach i wołał: mam jeszcze grosiwa, albo ja to za wasze piję.

To my nieraz między sobą mówili, skąd te Kubiaki mają pieniądze? Nie pilnują gospodarstwa, ani u nich wczas zasiew, ani jak należy wypielone; to też widzimy, że jak przyjdzie zbierać, to u nich mniej jak u nas; a jak ino gdzie jaka ochota, to i po dwa garnce wódki wystawią.

A czy wy myślicie, odpowiadali inni, że oni za swoje pieniądze tak hulają? To wierutne złodzieje, tylko im się jakoś wiedzie, że nikt ich na uczynku nie złapał; ale do czasu dzban wodę nosi.

A był między nami dawny kiedyś sołtys Breniada, z którym najlepiej się przyjaźniłem, bo on jak i ja nie lubił pijatyki; a że był bardzo stary, więc go wszyscy szanowali, i on jeden nieraz odważył się powiedzieć prawdę Wawrzyńcowi. Jak się czasem zeszedł z nim w karczmie, to tak do niego mawiał:

— Wawrzyniec, Wawrzyniec! że to was w każdym czasie i w każdy dzień zastać w karczmie, a w kościele to chyba na Wielkanoc, i na Boże Narodzenie was zobaczyć! A przecież usłyszelibyście różne dobre rzeczy, co dobrodziej z ambony naucza, i jak strasznie na pijaństwo gada.

— Cóż mi do tego, co ksiądz gada, odpowiedział Wawrzyniec, śmiejąc się złośliwie, ksiądz od tego, żeby gadał!

— Ej Wawrzyniec do was złe coraz więcej przystępuje!.. czyż to nie wiecie, że ksiądz Boskie słowa przy kazaniu tłumaczy? Jużeście i niemłodzi, a gadacie jakby małe dziecko; wstydźcie się tego.

A Wawrzyniec na to tylko złość swoję powstrzymywał, bo wiedział, że wszyscyby się ujęli za swoim dawnym sołtysem Breniadą; więc brał jeszcze więcej na fantazyę i wołał na szynkarza: *dawaj Breniadzie wódki, bo ma rozum krótki.* Ale Breniada odsunął kwaterkę, którą przed nim szynkarz postawił, nasunął czapkę na oczy i wyszedł z karczmy, powiedziawszy: Zobaczymy, zobaczymy, gdzie ciebie twój rozum zaprowadzi!

Aż tu jednego razu, słuchajcie co się zrobiło. Pan Dzierżanowski czy się domyślił, że to źle idzie w Dzierżanowie, czy też mu kto i doniósł, zjechał niespodzianie w drugi dzień Zielonych Świątek w nocy i to tak cicho, że nikt nie wiedział; bo jakeśmy się później dowiedzieli, kazał jechać przez łąki. Tam zostawił pojazd z końmi, a sam przez sad przyszedł do dworu, gdzie zastał tylko śpiącego w czeladniej izbie chłopaka od cielat. Rozbudziwszy go, pyta, gdzie ekonom?

— Po-po-jechali z i-im-mością, jeszcze wczoraj odpowiada, jąkając się przelękniony chłopak.

— Niebójże się, ja wasz pan, a odpowiadaj śmiało; gdzież karbowy?

— Nie ma go, poszedł do Orszymowa na chrzciny i jeszcze nie wrócił.

— A gospodyni?

— Poszła do sołtyski, bo ją zaprosili na wesele.

— Dziewki są w domu?

— Tylko kulawa Ludwika śpi tam w komorze, a Józefka, Sewerynowa i Pawłowa w karczmie.

W dobrą porę przybyłem, rzekł pan do siebie, ślicznie tu widzę pilnują mego mienia! I poszedł cicho obejrzeć, co się dzieje w stajniach, w oborach, i t. d. Wszystko poroztwierane, nikogo przy dozorze, bo parobcy, fornale, pastuchy nawet, wszystko piło, hulało i dokazywało w karczmie, skąd aż do uszu pana dochodziły krzyki, śpiewy i granie na katarynce. Zasmucony pan tem wszystkiem, już chciał wracać do dworu, kiedy spostrzegł przed spichrzem wóz z końmi i kilku ludzi krzątających się. Cichuteńko podszedł bliżej i zobaczył, jak ci ludzie przez boczny otwór za wyjęciem kawałka deski ze śpichrza wynosili workami zboże i na wóz pakowali. Odszedł pan jeszcze ciszej niż tam przyszedł, bo myślał sobie: cóż ja poczne, ich trzech, a ja sam jeden.

Więc pan tak postąpił, że zobaczywszy, iż oni popędzili ku Wyszogrodowi, zaraz przyszedł pod okno mojej izby, a u mnie jeszcze się tliło na kominie, bo żona z dziećmi pacierze odmawiała. Puk, puk w okno, i Bartłomiej! Bartłomiej! zawołał pan. Dzieci w strach, ale ja poznałem pana po głosie; wybiegam, aż pan do mnie:

— Nie zawiodłem się na tobie mój Bartłomieju, pewny byłem, że ty spokojnie w domu siedzisz i nie jesteś w karczmie z tymi pijakami; obudź prędko twego parobka, siadajcie na konie i ruszajcie traktem za trzema złodziejami, co mi dopiero zboże ze śpichrza ukradli.

— Dobrze to jaśnie panie, odrzekłem, ależ my we dwóch nie damy trzem rady. Pójdę pobudzę synów starego poczciwego Breniady, bo oni w tym tu samym ze mną czworaku mieszkają; jak nas będzie czterech, to przecież się nie damy, a to złodzieje to na wszystko gotowi.

— Dobrze mówisz mój Bartku, zrób tak i ruszaj, a jeżeli będziecie mogli, to powiążcie tych łajdaków i przyprowadźcie do mnie. Dopędzicie ich łatwo, bo sobie dobrze mojem zbożem wóz wyładowali; wasze konie dogonią ich szkapiny.

Jak pan mówił, tak się stało; nie wyszło godziny, dopędzamy wóz naładowany worami ze zbożem. Jeden człowiek powoził, drugi siedział na wozie, a trzeciego już nie było; widać, że go na drodze gdzieś musieli zostawić dla większego pośpiechu. Stójcie, stójcie złodzieje! wołamy, krzyczymy wszyscy czterech. Aż tu ten, co siedział na workach, skik na ziemię, chciał uciekać. Tymczasem ten, co powoził, zacinał konie, co miał siły; nic nie pomogło. Młodzi Breniadowie zabiegli mu drogę i przytrzymali, a ja z moim parobkiem dopadliśmy także; aże noc była ciemna, dopiero więc jak zagadał, krzyknąłem z zadziwienia, bo to był Wawrzyniec Kubiak. Ten zaś, co go Breniadowie złapali, związali i na wóz włożyli jak barana, to był młodszy Kubiak! Aż nam się za nich wstyd zrobiło, żeby gospodarze takiego upodlenia się dopuścili. Ale tak to tak, pijaństwo do wszystkiego złego doprowadza. Jeszcze nas więcej rozjątrzyło, że to nasi koledzy, z naszej wsi, własnego pana tak dobrego okradli. Bo choć pan rzadko był z nami, to prawda, ależ nigdy a nigdy nie dopuścił niczyjej krzywdy.

Wywindowaliśmy i Wawrzyńca na wóz, a tak ich konwojując, już świtało, gdyśmy przed dwór zajechali. Nigdy nie zapomnę, co się w tenczas działo. Pan przykazał, ażeby go obudzić, jak tylko powrócimy; więc pan wychodzi na ganek, nasz wóz z powiązanymi Kubiakami, leżącymi na workach z żytem stoi na dziedzińcu. My siedzimy na koniach i czekamy, co pan każe robić. A tu zajeżdża ekonom z żoną pańskim koczykiem, choć był przykaz, żeby nietykany stał w wozowni. To jak my spojrzeli na minę pana ekonoma i ekonomowej, tośmy sobie rękami gęby zatykali, żeby ze śmiechu nie parsknąć.

— Zastajecie niespodziewanego gościa, przemówił pan do nich; a oni nie wiedzieli, czy przepraszać, czy uciekać, a pewnie chcieliby pod ziemię się schować. Pani ekonomowa chyłkiem skryła się za kurnik, a ekonom stanął przed panem jak wryty, miętosił swój kaszkiet na wszystkie strony, a nie wiedział, w którą stronę oczami obrócić.

— Precz mi z oczu! krzyknął pan na niego, nie masz tu już władzy; później się z waścią rozprawię. A teraz zróbmy koniec z tymi złodziejami.

Wawrzyńcowi tak noga spuchła, że trzeba było aż but mu rozciąć; więc zaszła dworska fornalka, pan jako wójt gminy spisał protokół, i kazał obydwóch braci do Płocka odwieść, tylko Wawrzyńca pierwej do szpitala, a brata jego do sądu, który skazał obu do więzienia na trzy lata.

Ale Wawrzyniec miał już inną karę od Boga zesłaną i w więzieniu nie siedział, bo nim dojechał do Płocka, noga mu aż wyżej kolana jak kłoda spuchła; a że miał krew bardzo popsutą przez gorzałkę, więc z pół roku go leczyli, aż nakoniec musieli mu nogę oderznąć. Leżał jeszcze w szpitalu kilkanaście tygodni, nakoniec o kuli wyszedł zbiedzony i wycieńczony. Niewrócił już nigdy do Dzierżanowa, i aż w 10 lat potem poznałem go, gdy byłem w Częstochowie, a on w okropnych łachmanach i z długą brodą, z torbami na plecach żebrał pod kościołem! Nie mogłem się wstrzymać i powiedziałem mu:

— A co Wawrzyniec, czy będziesz teraz wołał, jak to dawniej: *dajcie Breniadzie wódki, bo ma rozum krótki.* Ledwie to wymówiłem, żal mi się zrobiło, żem się z ubogiego urągał, ale jakoś nie mogłem języka powstrzymać; a jak Wawrzyniec zaczął płakać, swoją nędzę opowiadać i żałować wszystkiego, co nabroił, serce mi się ścisnęło, dałem mu pieniędzy, za które miałem córce paciorki kupić, i powiedziawszy mu: niech cię Bóg pocieszy i przebaczy, poszedłem upaść przed cudownym obrazem Matki Boskiej, aby i za mną grzesznikiem, bo któż bez grzechu, wstawiła się do Syna swego, a naszego Zbawiciela.

— A cóż się stało, z drugim i trzecim Kubiakiem złodziejem, co z ekonomem? pytali to jedni, to drudzy Bartłomieja.

Ten, co go na drodze gdzieś bracia zostawili, odrzekł Bartłomiej, posłyszawszy, co się stało, jak czmychnął, tak przepadł jak kamień w wodę, i pewnie gdzieś biedę klepie; a mógł tak szczęśliwie żyć sobie na gospodarstwie w swojej rodzinnej wiosce, bo na niego po ojcu grunt spadał. A ten, co trzy lata w więzieniu wysiedział, jak wrócił do żony, to się tak wstydziła, tak płakała, że go wszyscy *kajdaniarzem* nazywali, iż poszła w świat i żyć z nim nie chciała. Szczęście, że dzieci nie mieli, bo choć to temu biedne dzieci niewinne, ale to wielki wstyd, kiedy ludzie palcem wytykają i pokazują: oto syn, oto córka złodzieja. Mój Boże! choćby dlatego samego, jakto ludzie powinni się chronić od złodziejstwa! Kubiak marniał, smucił się, aż nie długo zachorował na tyfus i umarł.

Jak tylko pan odprawił tego ekonoma, a innego porządnego wiernego i sprężystego człowieka na jego miejscu osadził; a szczególniej jak sam pan zaczął w Dzierżanowie mieszkać, wszystko poszło inaczej. Ustały niepotrzebne hulanki, ani przez pół nie było takiej pijatyki, bo wszyscy pamiętali, do czego to pijaństwo doprowadziło całą rodzinę Kubiaków.

Z tego krótkiego ustępu mieć można pojęcie, w jak zajmujący sposób cała ta książeczka napisana. Obrazki wszystkie brane wiernie z natury, a każdy mieści odpowiednią założeniu naukę. Z tego względu jak i ze względu prawdziwej użyteczności dziełko to polecamy czytelnikom naszym. Młodzież zwłaszcza wieśniacza powinna się z nią wcześnie zapoznawać, ażeby obrzydzić sobie złe, a zamiłować dobre.

Cena tej książki ustanowiona na złp. 4, jest umiarkowaną, przy względzie, iż obejmuje 156 stronic. Tém więcej zachęcać do jej nabycia czujemy się w obowiązku, iż dochód z jej rozprzedaży poświęcony został przez wydawcę na cele dobroczynne, jakoto: na przyjście w pomoc zakładom Ŝgo Wincentego à Paulo, Cerowni i Schronienia opieki Najświętszej Maryi Panny; każdy przeto kupujący podarek ten dla ludu wiejskiego, nie tylko zapewni sobie przyjemną i pożyteczną rozrywkę, ale spełni zarazem i dobry uczynek.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnle k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 22 marca (3 kwietnia) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*